

Kontrola nad mediami

Noam Chomsky

Początki historii propagandy

Zacznijmy od pierwszej współczesnej operacji propagandowej, przeprowadzonej przez rząd. Stało się to za czasów administracji Woodrowa Wilsona. Gdy wybrano go prezydentem w 1916 roku, jego program głosił: „Pokój bez zwycięstwa”. Było to w środku Pierwszej Wojny Światowej. Ówczesne społeczeństwo było nastawione wyjątkowo pacyfistycznie i nie widziało żadnego powodu, by angażować się w wojnę w Europie.

Ponieważ administracja Wilsona była zdecydowana na udział w wojnie, musiała jakoś temu zradzić. Stworzono więc rządową komisję propagandową - tak zwaną Komisję Creela. Udało się jej w ciągu sześciu miesięcy przemienić pacyfistyczne społeczeństwo w histeryczną, pałającą chęcią walki zbiorowość, pragnącą zniszczenia wszystkiego, co niemieckie, rozrywania Niemców na strzępy, przystąpienia do wojny i ocalenia świata. Było to znaczne osiągnięcie, które prowadziło do kolejnych. W tym samym czasie oraz później, po wojnie, wykorzystano identyczne techniki do wywołania histerycznej obawy przed tak zwanym Czerwonym Zagrożeniem. Umożliwiło to skuteczne zniszczenie związków zawodowych oraz likwidację tak niebezpiecznych problemów jak wolność prasy i myśli politycznej. Cieszyło się to znacznym poparciem mediów i establishmentu przemysłowego, które w istocie organizowały i promowały większość tych działań, co walcie przyczyniło się do ich sukcesu.

Pośród tych, którzy aktywnie i entuzjastycznie partycypowali w tym procesie, byli „postępowi” intelektualiści, osoby z kręgu Johna Deweya. Byli oni bardzo dumni, co widać na podstawie ich ówczesnego piśmiennictwa, iż, jak to określali, „bardziej inteligentni członkowie społeczeństwa” - czyli oni sami - zdolali pchnąć niechętną zbiorowość do wojny przez wzbudzenie w niej strachu i szermowanie fanatycznymi sloganami. Wykorzystano w tym celu szeroki wachlarz środków. Sfabrykowano na przykład liczne opowieści o popełnianych przez Hunów okrucieństwach, o obrywaniu przez nich rączek belgijskim niemowlętom, o wszelkiego rodzaju okropnościach, na które nadal można natknąć się w podręcznikach historii. Były to bez wyjątku wymysły brytyjskiego ministerstwa propagandy, które postawiło sobie za cel - jak określało to na swoich tajnych naradach - „kontrolowanie myśli całego świata”. Co bardziej istotne, pragnęło ono również kontrolować myślenie co bardziej inteligentnych członków amerykańskiego społeczeństwa, którzy szerzyliby dalej wysmażaną przez nie propagandę i pchnęli pacyfistyczne państwo w objęcia wojennej hysterii. Zamiar ten udało się zrealizować, i to nadzwyczaj skutecznie. Płynie stąd nauka: państwowa propaganda, wspierana przez wykształcone klasy, gdy nie można się jej sprzeciwić, może przynieść olbrzymie rezultaty. Naukę tę przyswoili sobie Hitler i wielu innych, wcielając ją w życie po dziś dzień !

Demokracja widzów

Inną grupą, pozostającą pod wrażeniem tych sukcesów, byli liberalni teoretycy Partii Demokratycznej i czołowi przedstawiciele mediów - na przykład Walter Lippman, nestor amerykańskich dziennikarzy, wiodący komentator polityki wewnętrznej i zagranicznej oraz czołowy teoretyk demokratycznego liberalizmu. Jeżeli zajrzy się do jego esejów zebranych, natrafi się na podtytuły w rodzaju: „Postępowa teoria liberalnej myśli demokratycznej” („A Progressive Theory of Liberal Democratic Thought”). Lippman zasiadał we wspomnianych komisjach propagandowych i zdawał sobie sprawę z ich osiągnięć. Dowodził, że „rewolucja w sztuce demokracji”, jak to określał, może zostać wykorzystana do „fabrykowania przyzwolenia” - czyli zapewniania dzięki nowym technikom propagandowym zgody społeczeństwa na to, na co nie miało ono ochoty.

Lippman był zdania, że jest to dobra, ba niezbędna koncepcja. Niezbędna, ponieważ „dobro ogólne całkowicie umyka opinii publicznej”, jak to sformułował. Może je zrozumieć i dążyć do niego jedynie wyspecjalizowana klasa odpowiedzialnych jednostek, dość inteligentnych, by pojąć, jakie są rządzące światem mechanizmy. Teoria ta zakłada, że jedynie niewielka elita - społeczność intelektualistów, o której mówili zwolennicy Deweya - jest w stanie pojąć dobro ogólne, czyli to, na czym zależy nam wszystkim i co „umyka opinii publicznej”. Poglądy tego rodzaju lansowane były od stuleci. Jest to również typowo leninowskie stanowisko. W istocie cechuje się ono bliskim powinowactwem do leninowskiej koncepcji, że czołówka rewolucyjnych intelektualistów powinna przejąć władzę państwową, wykorzystując w tym procesie siłę ludowych buntów, a następnie popędzić głupie masy ku przyszłości, dla której pojęcia są one zbyt ciemne i niekompetentne. Teoria liberalnej demokracji i marksizm i leninizm są bardzo bliskie w swych ideologicznych założeniach.

Uważam to za jedną z przyczyn, dla których różnym ludziom przez lata było łatwo przechodzić od jednego stanowiska do drugiego bez poczucia istotnej zmiany. Była to tylko kwestia oceny, gdzie tkwią korzenie władzy. Może dojdzie do ludowej rewolucji, która wyniesie nas na szczyty; może nie, i będziemy zmuszeni do współpracy z istniejącą władzą, czyli społecznością kapitalistyczną. Tak czy inaczej, będziemy działać identycznie: poganiać głupie masy w stronę świata, które są niezdolne zrozumieć go na własną rękę.

Lippman poparł swoje wywody szczegółowo opracowaną teorią postępowej demokracji. Twierdził, iż we właściwie zorganizowanej demokracji istnieją klasy obywateli. Na czoło wysuwa się klasa, pełniąca czynną rolę w prowadzeniu spraw publicznych. Są to ludzie, którzy analizują, wykonują, podejmują decyzje i kierują działaniem systemów: politycznego, ideologicznego i ekonomicznego. Jest to niewielki odsetek populacji. Naturalnie, każdy, kto wysuwa takie idee, zawsze należy do tej niewielkiej grupy, i mówi o tym, co należy zrobić z pozostałymi obywatelami. Ci pozostali - nie należący do owej niewielkiej grupki zdecydowana większość społeczeństwa, to według określenia Lippmana „zdezorientowane stado” („bewildered herd”). Musimy chronić się przed gniewem i możliwością stratowania przez zdezorientowane stado. W demokracji realizowane są dwie funkcje. Klasa wyspecjalizowana, czyli ludzie odpowiedzialni, pełnią funkcję wykonawczą, czyli myślą o dobrze publicznym, planują je oraz je rozumieją. Zdezorientowane stado również ma swoją rolę w demokracji. Według twierdzeń Lippmana, jest to rola widzów, a nie uczestników działania. Funkcja stada jest jednak rozleglejsza, bowiem mówimy o demokracji. Od czasu do czasu pozwala się mu poprzeć tego czy innego członka klasy wyspecjalizowanej. Innymi słowy tłumowi pozwala się powiedzieć: „Chcemy, byś ty - lub ty - był naszym przywódcą”.

Dzieje się tak dlatego, że żyjemy w ustroju demokratycznym, a nie państwie totalitarnym. Określa się to jako wybory. Po wyrażeniu poparcia dla tego czy innego członka klasy wyspecjalizowanej, tłumowi pozwala się jednak na usunięcie się w tło i stanie na powrót widzami, a nie uczestnikami działania. Tak właśnie powinna wyglądać prawidłowo funkcjonująca demokracja.

Podejście takie jest w pewnym sensie logiczne. Kryje się za nim nawet swego rodzaju ogólna zasada moralna. Imperatyw ten zakłada, iż masy są zbyt naiwne, by pojąć funkcjonowanie świata. Gdyby próbowały partycypować w podejmowaniu dotyczących ich decyzji, powodowałyby tylko kłopoty. Wobec tego dopuszczenie ich do decydowania byłoby czymś niewłaściwym i niemoralnym. Należy poskramiać zdezorientowane stado, a nie pozwalać mu na wściekłe traktowanie wszystkiego, co popadnie. Mniej więcej taka sama logika zakłada, że niewłaściwe jest pozwolenie trzylatkowi na samodzielne przechodzenie przez ulicę. Nie daje się mu takiej swobody, ponieważ trzylatek nie wie, jak korzystać z tej wolności. Na tej samej zasadzie nie można pozwolić zdezorientowanemu stadu na współuczestniczenie w działaniu --wywołałoby to tylko kłopoty.

Potrzebne jest więc narzędzie do poskromienia zdezorientowanego stada. Jest nim nowa rewolucja w sztuce demokracji: „fabrykowanie przyzwolenia”. Konieczny jest podział środków przekazu, szkolnictwa i kultury popularnej. Muszą one uczyć przedstawicieli klasy politycznej i decydentów pewnego znośnego poczucia rzeczywistości, chociaż oczywiście muszą jednocześnie wpajać właściwe wartości. Trzeba pamiętać, że kryje się za tym nie wyrażona przesłanka. Przesłanka ta - którą muszą skrywać przed sobą nawet odpowiedzialne osoby - dotyczy sposobu, w jaki uzyskali oni pozycję, umożliwiającą im podejmowanie decyzji. Oczywiście, dzieje się tak dlatego, że służą oni ludziom, dysponującym prawdziwą władzą ! Jest to bardzo wąskie grono. Jeśli klasa wyspecjalizowana zbliży się do niego i stwierdzi: „możemy służyć waszym interesom”, wówczas zostanie wciągnięta do pełnienia wykonawczej roli. Należy to jednak utrzymywać w tajemnicy. Znaczy to, że należy członkom tej klasy wpoić przekonania i doktryny, służące interesom dysponentów prywatnie posiadanej, rzeczywistej władzy. Otrzymujemy więc oddzielny system edukacyjny, nakierowany na klasę wyspecjalizowaną, czyli ludzi odpowiedzialnych. Należy poddać ich dokładnej indoktrynacji, obejmującej wartości i interesy przedstawicieli prywatnej władzy oraz reprezentującego ich kompleksu państwowo-korporacyjnego. Uwagę reszty zdezorientowanego stada należy w zasadzie zająć czymś innym - nie dopuścić, by mogło narobić kłopotów. Zadbać, by jego członkowie pozostali praktycznie wyłącznie obserwatorami działań, jedynie sporadycznie wyrażającymi poparcie dla tego czy innego prawdziwego przywódcy, spośród których pozwala się im dokonać wyboru.

Podobny punkt widzenia rozwijało wielu ludzi. Prawdę mówiąc, jest on dość konwencjonalny: na przykład czołowy współczesny teolog i komentator polityki zagranicznej Reinhold Niebuhr, czasami nazywany „teologiem establishmentu”, guru George Kennana, intelektualistów spod znaku Kennedy'ego i innych, stwierdził, iż „racjonalizm to bardzo rzadka umiejętność”. Cechuje się nim jedynie wąskie, ograniczone grono ludzi. Większość kieruje się po prostu emocjami i impulsami. Ci z nas, którzy są racjonalistami, muszą tworzyć niezbędne iluzje i obdarzone silnym ładunkiem emocjonalnym nadmierne uproszczenia, by naiwni prostaczkowie nie zbaczali zbyt z należącego kursu. Podejście takie stało się znaczącym elementem współczesnej nauki politycznej. W latach dwudziestych i trzydziestych

Harold Laswell, współtwórca nowoczesnych zasad, określających zasady społecznej komunikacji, jeden z wiodących reprezentantów amerykańskich nauk politycznych, wyjaśniał, iż nie powinniśmy ulegać „demokratycznym dogmatyzmom”, zakładającym, że obywatele są najlepszymi znawcami swoich interesów. Jest przecież inaczej - to my znamy się najlepiej na dobrze publicznym. Dlatego też zwykła moralność nakazuje nam dopilnowanie, by nie mieli oni okazji do realizacji swoich niewłaściwych koncepcji. Jest to proste w strukturze, którą określa się obecnie państwem totalitarnym lub reżimem militarnym. Dzierży się pałką nad głowami obywateli i korzysta z niej, jeżeli wychyła się poza przewidziane granice. Możliwość taką jednak traci się, im bardziej społeczeństwo staje się wolne i demokratyczne, dlatego też należy uciec się do technik propagandowych. Logika jest oczywista: propaganda jest dla demokracji tym, czym pałka dla państwa totalitarnego!

Jeszcze raz powtórzmy: jest to dobre i rozsądne, ponieważ zdezorientowane stado nie potrafi pojąć dobra publicznego. Zrozumienie go po prostu przekracza jego możliwości.

Public relations

USA było pionierem sektora „public relations”. Celem tego przemysłu jest „kontrolowanie umysłu społeczeństwa”, jak określali to jego liderzy. Nauczyli się oni wiele dzięki triumfom Komisji Creela, skutecznemu wywołaniu widma Czerwonego Zagrożenia i jego konsekwencjom. Sektor „public relations” uległ w owym okresie gigantycznej ekspansji. W latach dwudziestych przez jakiś czas udało się mu wywołać w społeczeństwie niemal całkowite posłuszeństwo wobec dominacji biznesu. Dominacja ta była tak doszczętna, że stała się obiektem dochodzeń komisji Kongresu w latach trzydziestych. Z nich właśnie pochodzi znaczna część naszych informacji.

„Public relations” to olbrzymi przemysł. Obecnie wydatki w nim sięgają około biliona dolarów rocznie. Przez cały czas chodzi tu o kontrolowanie umysłu społeczeństwa.

W latach trzydziestych, podobnie jak w trakcie Pierwszej Wojny Światowej, wyłoniły się wielkie problemy. Doszło do wielkiego kryzysu, pojawiły się silne organizacje pracownicze. W istocie w 1935 roku robotnicy wygrali pierwszą poważną kampanię legislacyjną: Ustawa Wagnera przyznała im prawo do zrzeszania się. Powodowało to dwa poważne problemy. Po pierwsze, demokracja funkcjonowała wadliwie: zdezorientowane stado poczęło odnosić sukcesy prawodawcze, a tak przecież nie powinno być. Drugi problem polegał na tym, iż ludzie zyskiwali możliwość organizowania się. Ludność powinna wszelako być zatomizowana, wyalienowana i posegregowana. Nie powinna zakładać organizacji, ponieważ wówczas mogłaby przestać być widzem wydarzeń. Jeśli dostatecznie wielu ludzi o ograniczonych środkach może łączyć się w celu zaistnienia na arenie politycznej, mogliby stać się rzeczywistymi uczestnikami wydarzeń, a to byłoby naprawdę groźne.

Prywatny przemysł podjął szerokie starania, by zapewnić, iż będzie to ostatnie zwycięstwo legislacyjne dla pracowników i początek końca demokratycznego odchylenia w postaci prawa do tworzenia masowych organizacji. Zamiar się powiódł. Okazało się, że było to ostatnie zwycięstwo legislacyjne dla świata pracy. Od tej chwili - chociaż liczba członków związków zawodowych wzrosła na jakiś czas w trakcie Drugiej Wojny Światowej i zaczęła spadać dopiero później - skuteczność działań związków stale malała. Nie było to przypadkiem. Stało się tak dzięki społeczności biznesu, która włożyła mnóstwo pieniędzy, uwagi i pomysłu,

by poradzić sobie z tym problemem poprzez przemysł „public relations”, organizacje w rodzaju Okrągłego Stołu Narodowego Stowarzyszenia Producentów i Biznesmanów (National Association of Manufacturers and Business Roundtable) i tak dalej. Społeczność ta przystąpiła natychmiast do obmyślenia sposobu zapobieżenia takim demokratycznym dewiacjom.

Chrzest bojowy nastąpił w rok później, w 1936 roku. W Johnstown w Dolinie Mohawk w zachodniej Pensylwanii doszło do wielkiego strajku Bethel Steel. Kapitalizm wypróbował nową technikę niszczenia ruchu pracowniczego, która okazała się nadzwyczaj skuteczna. Nie chodziło tym razem o łamanie kolan i rzucanie do akcji band osiłków, bowiem metody te nie sprawdzały się ostatnio najlepiej. Dokonano tego subtelniejszymi i bardziej skutecznymi metodami propagandowymi. Postanowiono znaleźć sposób na zwrócenie społeczeństwa przeciwko strajkującym, na przedstawienie ich jako elementów niszczycielskich, szkodliwych dla ogółu i zagrażających dobru publicznemu. Dobro publiczne to to, co służy „nam”: biznesmanom, pracownikom, gospodyniom domowym. Wszyscy ci ludzie to „my”. Chcemy być razem i cieszyć się wartościami w rodzaju harmonii, amerykańizmu (amerykańskiego stylu życia) czy wspólnej pracy. Z drugiej strony mamy złych strajkujących, którzy sprawiają kłopoty, podważają nasze wysiłki, niszczą harmonię (1) i gwałcą amerykański styl życia. Musimy ich powstrzymać, by móc nadal żyć razem. Kierownicy przedsiębiorstw i ci, którzy zamiatają podłogi, mają te same interesy. Możemy wszyscy pracować wspólnie na rzecz amerykańskiego stylu życia w harmonii, darząc się wzajemną sympatią - tak w zasadzie prezentował się ów przekaz. Dołożono mnóstwa wysiłków, żeby go zaprezentować. Chodziło przecież o społeczność kapitalistów, kontrolującą środki masowego przekazu i dysponującą wielkimi zasobami. I istotnie, przyniosło to doskonałe rezultaty. Później nazwano nawet tę metodę „formułą Mohawk Valley” i wielokrotnie wykorzystywano ją do łamania strajków. Określano ją jako „naukową metodę przerywania strajków”. Okazała się ona bardzo skuteczna w mobilizowaniu opinii społecznej po stronie mdłych, pozbawionych treści pojęć w rodzaju „amerykańskiego stylu życia”. Któż mógłby występować przeciwko niemu ? Albo harmonii ? Kto mógłby się jej sprzeciwić ? Lub, by użyć bardziej współczesnego pojęcia, kto mógłby być przeciwko „popieraniu naszych wojsk” ? Kto miałby ochotę sprzeciwić się noszeniu żółtych wstążeczek ? Nadają się do tego wszystkie hasła, o ile są całkowicie pozbawione treści. Zastanówmy się, co znaczyłoby, gdyby ktoś zadał wam pytanie: „czy popieracie mieszkańców Iowa” ? Czy ktoś z was mógłby odpowiedzieć: „tak, popieram ich” lub „nie, nie popieram ich” ? To nie jest nawet pytanie. Nic nie znaczy, i o to chodzi. W sloganach „public relations” w rodzaju „popierajcie nasze wojska” liczy się właśnie to, że nic nie znaczą. Ich ważkość jest dokładnie taka, jak pytanie, czy popiera się obywatele Iowa. Oczywiście, kryje się w tym jednak sens. Prawdziwe pytanie brzmi: „czy popieracie naszą politykę ?” Nie należy jednak dopuszczać, by ludzie zastanawiali się nad tak sformułowanym pytaniem. O to, i tylko o to chodzi w dobrej propagandzie. Jej celem jest stworzenie sloganu, przeciwko któremu nikt nie może się opowiedzieć i po którego stronie staną wszyscy, ponieważ nikt nie wie, co on właściwie oznacza. W istocie nie znaczy nic, lecz jego zasadnicza wartość polega na tym, iż odwraca on uwagę od pytania, rzeczywiście mającego sens: „czy popierasz naszą politykę ?” O tej jednak kwestii nie wolno mówić.

Niech więc ludzie dyskutują o poparciu dla wojska. Oczywiście nie mogą ich nie popierać. Samo to stwierdzenie oznacza zwycięstwo propagandy ! Podobnie jest z amerykańskim stylem życia i harmonią. Jesteśmy wszyscy razem, łączmy się, my puste slogany, by zapewnić,

że nie pojawią się dookoła źli ludzie, zakłócający naszą harmonię gadaniem o walce klasowej, prawach i tym podobnych kwestiach.

Jest to bardzo skuteczne podejście. Stosuje się je po dziś dzień. Oczywiście, zostało ono starannie przemyślane. Pracownicy przemysłu „public relations” nie działają w nim dla zabawy. Jest to ich zawód. Starają się oni wpajać właściwe wartości. W istocie mają nawet koncepcję, jak powinna wyglądać demokracja: winien być to system, w którym szkoli się klasę wyspecjalizowaną, by służyła panom - tym, którzy są właścicielami społeczeństwa. Resztę społeczeństwa należy zaś pozbawić jakichkolwiek form organizacji, bowiem organizowanie się przyczynia tylko kłopotów. Ludzie powinni wysiadywać w odosobnieniu przed telewizorami i pozwalać na wbijanie im do głów przekazu, brzmiącego: jedynym celem w życiu jest posiadanie większej ilości dóbr, trzeba żyć tak jak właśnie pokazywana amerykańska rodzina z klasy średniej, lub: trzeba wyznawać tak sympatyczne wartości jak harmonia czy amerykański styl życia. Nic innego w życiu się nie liczy. Może przychodzi ci do głowy, iż w życiu powinno chodzić o coś jeszcze, ale ponieważ oglądasz telewizję w samotności, indywidualnie, musisz dojść do wniosku: „oszałam, bo przecież nie pokazują nic innego”.

Ponieważ zaś nie zezwolono na organizowanie się - jest to absolutnie nieodzowne - nigdy nie zdołasz dowiedzieć się, czy rzeczywiście oszalałeś. Tak jednak musisz podejrzewać, bowiem jest to naturalne w twojej sytuacji.

Tak wygląda stan idealny. W celu osiągnięcia tego ideału podejmuje się gigantyczne wysiłki. Oczywiście, kryje się za nimi określona koncepcja - pojęcie demokracji, które omówiłem wcześniej.

Zdezorientowane stado może stwarzać problemy, dlatego musimy zadbać, by nie wpadło w szal i nie zaczęto tratować. Powinno oglądać puchary piłkarskie, seriale komediowe lub pełne przemocy filmy. Co jakiś czas należy pobudzić je do wykrzykiwania pozbawionych znaczenia sloganów w rodzaju „popierajcie nasze wojska”. Należy utrzymywać je w znacznym lęku, bo jeśli nie będzie należycie się bać najrozmaitszych diabłów, mogących zniszczyć je od środka, z zewnątrz czy skądkolwiek, mogłoby zacząć myśleć, co byłoby bardzo niebezpieczne, stado nie ma bowiem kwalifikacji do myślenia. Dlatego też należy odwracać jego uwagę i spychać je na margines.

Jest to jedna z koncepcji demokracji. Wracając do społeczności kapitalistycznej: istotnie, Ustawa Wagnera z 1935 roku stanowiła ostatnie prawne zwycięstwo świata pracy. Po wybuchu kolejnej wojny nastąpił schyłek związków zawodowych, podobnie jak kultury najbogatszego odłamu klasy robotniczej, najściślej powiązanego ze związkami. Wszystko to należy do przeszłości - staliśmy się społeczeństwem zarządzanym w zdumiewająco dużym stopniu przez przedstawicieli świata biznesu. Jest to jedyne zindustrializowane społeczeństwo państwowego kapitalizmu, pozbawione normalnej umowy społecznej, jaką znajdujemy w porównywalnych społeczeństwach. Jak miemam, poza Południową Afryką jest to jedyne społeczeństwo industrialne, pozbawione państwowej opieki zdrowotnej. Nie ma powszechnej zgody na utrzymanie chociażby minimalnych standardów, zapewniających przeżycie tym odłomom społeczeństwa, które nie potrafią podporządkować się jego regułom i na własną rękę pozyskiwać dobra. Związki zawodowe praktycznie nie istnieją. Tak samo jest

z innymi formami ruchów masowych. Nie istnieją partie ani organizacje polityczne. Zawędrowaliśmy daleko na drodze ku ideałowi, przynajmniej pod względem strukturalnym.

Media stanowią korporacyjny monopol i wszystkie prezentują ten sam punkt widzenia. Dwie główne partie stanowią jedynie frakcje partii (klasy) kapitalistów. Większość ludzi nie zwraca sobie nawet głowy głosowaniem, ponieważ wydaje się to bezcelowe. Społeczeństwo zostało zmarginalizowane, a jego uwagę rozprasza się w należyty sposób. Taki przynajmniej jest cel działania.

Wiodąca postać przemysłu „public relations”, Edward Bernays, w istocie wywodzi się z Komisji Creela. Był jej członkiem, przyswoił sobie jej nauki i kontynuował działalność, określaną przez niego jako „fabrykowanie przyzwolenia” i uważaną za „esencję demokracji”. Ci, którzy są w stanie produkować przyzwolenie, mają po temu zasoby i siłę - czyli przedstawiciele świata biznesu - to właśnie ci, na których pracujecie.

Manipulowanie opinią

Konieczne jest również zapędzanie ludności, by wyrażała poparcie dla międzynarodowych awantur. Społeczeństwo zwykle jest nastawione pacyfistycznie, tak jak było w trakcie Pierwszej Wojny Światowej. Nie widzi powodu, by angażować się w zagraniczne awantury, zabijanie i torturowanie. Trzeba je więc do tego zagnać. Ażeby tak się stało, należy je przestraszyć. Sam Bernays odniósł znaczny sukces w tym względzie. On właśnie kierował kampanią propagandową dla United Fruit Company w 1954 roku, gdy Stany Zjednoczone zdołały obalić kapitalistyczno-demokratyczny rząd Gwatemali i zainstalowały w jego miejsce aparat terroru szwadronów śmierci, utrzymujący się po dziś dzień u władzy dzięki stałym zastrzykom amerykańskiej pomocy i zapobiegający zaistnieniu tam jakichkolwiek demokratycznych odchyłeń. Konieczne jest również nieustanne wbijanie ludziom do gardeł programów polityki wewnętrznej, którym społeczeństwo się sprzeciwia, bowiem nie ma żadnej przyczyny, by popierało szkodzące mu pomysły. To również wymaga intensywnej propagandy. Byliśmy świadkami, że działo się tak wielokrotnie w ciągu ubiegłych dziesięciu lat. Programy Reagana były przytłaczająco niepopularne. Nawet około dwóch trzecich tych, którzy głosowali na Reagana, miało nadzieję, że jego koncepcje polityczne nie zostaną zrealizowane. Jeżeli przyjrzeć się poszczególnym programom, na przykład zbrojeniom, obciążeniu wydatków na cele socjalne itp., niemal każdemu sprzeciwiała się zdecydowana część społeczeństwa. Dopóki jednak zwykli obywatele są zepchnięci na margines, nie mają szans organizować się ani wyrażać swoich przekonań - ci, którzy twierdzą, iż przedkładają wydatki socjalne nad zbrojeniove, i którzy tak odpowiadali w sondażach (co czyniła przytłaczająca większość), zakładali, że jedynie im przychodzi do głowy tak szalone pomysły. Nie mieli szans usłyszeć, że inni myślą to samo. Nie dopuszczano, by mogli sobie to uświadomić. Dlatego też, nawet jeśli człowiek tak myślał i potwierdzał to w sondażu, zakładał, że jest jakimś dziwakiem. Ponieważ nie ma szans nawiązania kontaktu z innymi ludźmi, podzielającymi i popierającymi takie poglądy oraz pomagającymi je wyartykułować, nie ma sposobu, by nie czuć się kimś odbiegającym od normy, zwichrowanym. W tej sytuacji można jedynie pozostać na uboczu i nie zwracać uwagi na to, co się dzieje. Można oglądać w zamian coś innego, na przykład puchary futbolowe.

Stan idealny udało się osiągnąć do pewnego stopnia - jednak nie do końca. Istnieją instytucje, których nie udało się zniszczyć - na przykład wciąż działają kościoły. Znaczna część

aktywności dysydentów w USA ma miejsce właśnie w kościołach z tego prostego powodu, że zdołały się ostać. Kiedy wyjedzie się do jakiegoś europejskiego kraju, by wygłosić przemowę, jest bardzo prawdopodobne, że stanie się to w hali związku zawodowego. W Stanach jest to niemożliwe, ponieważ po pierwsze związki ledwie egzystują, a jeśli już, nie są organizacjami politycznymi. Kościoły się jednak utrzymały, dlatego też przemówienia są często wygłaszane właśnie w nich. Tydzień solidarności z Ameryką Środkową odbył się głównie z inicjatywy kościołów - dlatego, że istnieją.

Zdezorientowanego stada nigdy nie udaje się do końca poskromić, dlatego też trzeba toczyć z nim ciągłą walkę. W latach trzydziestych buntowało się, ale udało się je pokonać. W latach sześćdziesiątych nastąpiła kolejna faza dysydencji. Klasa wyspecjalizowana wymyśliła na to określenie: „kryzys demokracji”. Uznano, że demokracja w latach sześćdziesiątych weszła w fazę kryzysu. Polegał on na tym, iż znaczne odłamy społeczeństwa zaczęły się organizować, przejawiać aktywność i starać się wejść na arenę polityczną.

W tym miejscu musimy odwołać się do dwóch wspomnianych koncepcji demokracji. Według słownikowej definicji, oznacza to postęp demokracji. Przeważała jednak opinia, że jest to problem, kryzys, któremu należy zaradzić. Społeczeństwo należało wpędzić z powrotem w stan apatii, posłuszeństwa i bierności, który jest dla niego właściwy i należny. Trzeba było coś zrobić, by zażegnać ten kryzys, jednak starania te okazały się nieskuteczne. Na szczęście kryzys demokracji żyje i ma się dobrze, chociaż nie jest w stanie skutecznie wpływać na politykę. Może jednak wpływać na opinie, wbrew temu, co sądzi wielu ludzi. Po końcu lat sześćdziesiątych zrobiono wiele, by odwrócić przebieg tego schorzenia lub je pokonać. Jeden z jego aspektów uzyskał nawet techniczne określenie: „syndrom wietnamski”. Termin ten zaczął się pojawiać około roku 1970 i był okazjonalnie definiowany. Reaganowski intelektualista Norman Podhoretz określił go jako „chorobliwy opór przed zastosowaniem siły zbrojnej”. Owe chorobliwe zahamowania przed stosowaniem przemocy to nastawienie znacznej części społeczeństwa. Ludzie po prostu nie byli w stanie zrozumieć, po co trzeba mordować i torturować mieszkańców innych krajów czy przeprowadzać naloty dywanowe. Poddanie się społeczeństwa takim chorobliwym zahamowaniom jest bardzo niebezpieczne, co dobrze zrozumiał Goebbels - stanowi to bowiem czynnik ograniczający przy wdawaniu się w międzynarodowe awantury. Konieczne jest, jak to określił niedawno z niejaką dumą Washington Post, „wpojenie obywatelom respektu dla cnót wojskowych”. Jest to ważne stwierdzenie. Jeśli chce się mieć akceptujące przemoc społeczeństwo, stosujące siłę na skalę światową, by zrealizować cele wewnętrznej elity, konieczne jest wpojenie właściwego szacunku dla cnót militarnych, a nie chorobliwych zahamowań przed używaniem przemocy. Na tym właśnie polega syndrom wietnamski i wiadomo, że trzeba się z nim uporać.

Opis zamiast rzeczywistości

Konieczna jest również całkowita falsyfikacja historii. Kolejny sposób na pokonanie owych chorobliwych oporów, to przedstawienie faktu, iż kogoś napadamy by go zniszczyć, jako bronienie się przed groźnymi agresorami, potworami itd. Po wojnie w Wietnamie dołożono niezmiernych wysiłków, by przerobić jej historię. Zbyt wiele osób zaczęło zdawać sobie sprawę, co się naprawdę dzieje - włącznie z wieloma żołnierzami i młodymi ludźmi, biorącymi udział w ruchu pokoju i innych. Było to niepożądane, należało więc uporać się z tymi nieprawomyślnymi ideami i przywrócić względną normalność - to znaczy doprowadzić

do uznania, że to, co robiliśmy, było słuszne i szlachetne. Skoro bombardowaliśmy Wietnam Południowy, czyniliśmy to dlatego, że broniliśmy go przed kimś - czyli przed Południowymi Wietnamczykami, ponieważ nikogo innego tam nie było. Skupieni wokół Kennedy'ego intelektualści ochrztili to „obroną przed wewnętrzną agresją w Wietnamie Południowym”. Sformułowania tego użył również Adlai Stevenson. Trzeba było zadbać, by stało się ono oficjalnym i dobrze rozumianym obrazem rzeczywistości i starania te okazały się skuteczne. Gdy dysponuje się absolutną kontrolą nad mediami i systemem szkolnictwa, a świat nauki jest konformistyczny, można z powodzeniem lansować taki przekaz. Jedną ze wskazówek powodzenia tych działań stanowi wynik badań, przeprowadzonych przez Uniwersytet Massachusetts, dotyczących postaw społecznych, wobec obecnego kryzysu w Zatoce - postaw i poglądów, będących rezultatem oglądania telewizji. Jedno ze stawianych pytań brzmiało: „Ilu - w Twojej ocenie - zginęło Wietnamczyków w czasie wojny Wietnamskiej ?” Współcześni Amerykanie szacowali przeciętnie, iż było to 100.000 ludzi. Oficjalna liczba wynosi dwa miliony. Rzeczywista - prawdopodobnie trzy do czterech milionów. Prowadzący te badania autorzy sformułowali słuszne pytanie: co pomyślelibyśmy o niemieckiej kulturze politycznej, gdyby obywatele tego kraju, pytani obecnie o ilość ofiar Holokaustu, odpowiadali, że było ich około trzystu tysięcy ? Co mogłoby nam to powiedzieć o niemieckiej kulturze politycznej ? Autorzy nie rozwinęli tego wniosku, można się jednak o to pokusić. Co nam to mówi o naszej kulturze ? Wcale sporo. Przełamywanie chorobliwych oporów przed stosowaniem siły militarnej i innych demokratycznych odchyłeń jest konieczne. W tym konkretnym przypadku się to udało. Powiodło się również w każdym innym wypadku. Można wybrać dowolny problem: Środkowy Wschód, międzynarodowy terroryzm, Ameryka Środkowa, cokolwiek - prezentowany społeczeństwu obraz świata wykazuje najodleglejsze z możliwych podobieństwo do rzeczywistości. Prawda jest pogrzebana pod wielopiętrowymi konstrukcjami kłamstw. Z tego punktu widzenia był to oszołamiący sukces w zapobieganiu zagrożeniu demokracją. Osiągnięto go w warunkach wolności, co jest tym bardziej zdumiewające. Nie żyjemy w kraju totalitarnym, w którym można by to łatwo osiągnąć siłą. Sukcesu tego dopięto w warunkach wolności. Jeżeli chcemy zrozumieć nasze społeczeństwo, musimy zastanowić się nad tymi faktami. Są one wyjątkowo ważne dla każdego, kogo obchodzi, w jakim społeczeństwie żyje.

Kultura dysydencji

Mimo wszystkich opisanych zjawisk, kultura dysydencji przetrwała i znacznie się rozrosła od lat sześćdziesiątych. W owym okresie przede wszystkim kultura ta rozwijała się bardzo powoli. Protesty przeciwko wojnie w Indochinach rozpoczęły się dopiero w kilka lat po rozpoczęciu przez Stany Zjednoczone bombardowań w Południowym Wietnamie. Kiedy ruch dysydencki powstał, był zrazu bardzo wąski i obejmował głównie studentów i młodzież. Jeszcze nim nastąpiły lata siedemdziesiąte, ten stan rzeczy uległ znacznym zmianom. W latach osiemdziesiątych nastąpił jeszcze większy rozkwit ruchów solidarnościowych, co stanowi nowe i ważne zjawisko w historii przynajmniej amerykańskiej, o ile nie światowej dysydencji. Były to ruchy nie tylko protestujące, lecz często angażujące się, czasem nawet blisko, w życie cierpiących ludzi poza granicami kraju. Wyciągnęły one stąd wiele nauk i wywarły znaczny cywilizacyjny wpływ na Amerykę „głównego nurtu” (mainstream). Wszystko to przyniosło bardzo duże zmiany. Każdy, kto był zaangażowany w tego rodzaju działalność, musi zdawać sobie z tego sprawę. Orientuję się, że przemówienia, jakie wygłaszam obecnie w najbardziej reakcyjnych częściach kraju - środkowej Georgii, wschodnim Kentucky itp. - byłyby nie do

pomyślenia nawet w okresie największego rozkwitu ruchu pokojowego, nawet przed najbardziej aktywnymi uczestnikami tego ruchu. Obecnie można wygłaszać je wszędzie. Ludzie zgadzają się z nim lub nie, lecz przynajmniej wiedzą, o co chodzi, wobec czego istnieje pewna wspólna płaszczyzna porozumienia.

Wszystko to stanowi oznaki wspomnianego cywilizującego wpływu, wbrew propagandzie, wbrew wszelkim wysiłkom w celu kontrolowania myśli i fabrykowania przyzwolenia. Mimo wszystko ludzie nabierają zdolności i chęci myślenia na własną rękę. Wzrósł sceptycyzm wobec władzy, zmieniło się nastawienie wobec bardzo wielu kwestii. Proces ten jest powolny, niemal jak cofanie się lodowca, lecz dostrzegalny i istotny. Inna rzecz, czy dokonuje się dostatecznie szybko, by wpłynąć znacząco na to, co dzieje się na świecie. Wystarczy jeden znajomy przykład: osławiona bariera między płciami. W latach sześćdziesiątych postawa wobec takich kwestii jak „cnoty militarne” czy chorobliwe opory przed użyciem siły zbrojnej były mniej więcej takie same wśród kobiet i mężczyzn. Nikt, ani mężczyźni, ani kobiety, nie doznawali owych chorobliwych zahamowań na początku lat sześćdziesiątych. Ich reakcje były identyczne. Wszyscy uważali, że stosowanie przemocy w celu stłumienia oporu innych narodów było słuszne. W ciągu kolejnych lat sytuacja ta uległa zmianie. Chorobliwe zahamowania stały się coraz powszechniejsze wśród wszystkich grup społeczeństwa. Ujawniła się jednak coraz większa, obecnie bardzo istotna rozbieżność między mężczyznami i kobietami. Według ankiet, sięga ona 25%. Co się stało? Otóż to, iż powstał przynajmniej na połę zorganizowany ruch masowy, zrzeszający kobiety - ruch feministyczny. Zorganizowanie się przyniosło skutki. Organizacja oznacza odkrycie, że nie jest się samym, że inni podzielają twoje poglądy. Pozwala to na umocnienie się w swoich przekonaniach, na uściślenie swoich poglądów i myśli.

Ruchy te mają bardzo nieformalny charakter, nie są organizacjami członkowskimi, kreują jednak atmosferę, wpływającą na interakcje międzyludzkie. Wywarło to bardzo wyraźny efekt. Na tym polega niebezpieczeństwo demokracji: jeżeli pozwoli się na powstawanie organizacji, jeżeli ludzie nie tkwią już przez cały czas przyklejeni do telewizorów, to mogą im zakiełkować w głowach najrozmaitsze dziwaczne pomysły, na przykład chorobliwe opory przed stosowaniem siły zbrojnej. Trzeba z tym walczyć - jednak jeszcze się to nie udało.

Parada wrogów

Zamiast mówienia o poprzedniej wojnie, chciałbym zająć się następną - czasem bowiem przydaje się być przygotowanym, a nie tylko reagować. W USA dokonuje się obecnie bardzo charakterystyczny proces. Nie jest to pierwszy kraj, w którym miał on miejsce. Narastają wewnętrzne problemy - może wręcz katastrofy - społeczne i ekonomiczne. Nikt u władzy nie wykazuje najmniejszej ochoty, by im jakkolwiek przeciwdziałać. Jeżeli przyjrzeć się programom wewnętrznym administracji z okresu ostatniego dziesięciolecia - włączam tu opozycję demokratyczną - brak było poważnych propozycji rozwiązania całego bagażu problemów: zdrowia, edukacji, bezdomności, bezrobocia, przestępczości, gwałtownego rozrastania się kryminogennych populacji, upadku centrów miejskich i więziennictwa. Wszystkim wiadomo o tych problemach, jednak stają się one coraz poważniejsze. Tylko w ciągu dwóch lat pełnienia urzędu przez George'a Busha kolejne trzy miliony dzieci znalazło się poniżej granicy nędzy, zadłużenie niebotycznie rośnie, spadają standardy edukacji, płace

realne większości społeczeństwa sięgnęły mniej więcej poziomu końca lat pięćdziesiątych - i nikt nic z tym nie robi.

W tych okolicznościach konieczne jest odwrócenie uwagi zdeorientowanego stada: jeśli zorientuje się, co się dzieje, może mu się to nie spodobać, skoro przede wszystkim jego to dotyczy. Pokazywanie pucharów futbolowych i komedii sytuacyjnych może okazać się niewystarczające, trzeba więc wywołać w nich strach przed wrogami. W latach trzydziestych Hitler wzbudził w społeczeństwie lęk przed Żydami i Cyganami. Trzeba było ich zmiążyć, by się obronić. My również mamy podobne sposoby. W ciągu ostatniego dziesięciolecia co rok czy dwa kreuje się jakieś wielkie monstrum, przed którym musimy się bronić. Dawniej mieliśmy na podorędziu potworów, z których stale mogliśmy korzystać: Rosjan. Zawsze można było odwołać się do konieczności obrony przed Rosjanami. Ponieważ tracą oni atrakcyjność jako przeciwnik, i coraz trudniej wykorzystywać ich w tej roli, należało wynaleźć jakichś nowych wrogów. W istocie ludzie niesprawiedliwie krytykowali George'a Busha, iż nie jest zdolny wyrazić ani wyartykułować tego, co nami kieruje. Jest to niesprawiedliwa ocena. Przed mniej więcej połową lat osiemdziesiątych nawet podczas snu można było odtwarzać płytę: „Rosjanie nadchodzą !” Ponieważ jednak płyta się zdarła, Bush musiał wynaleźć nową, podobnie jak uczynił aparat reaganowski w latach osiemdziesiątych. Przyszła więc kolej na międzynarodowy terroryzm, opętanych Arabów i nowego Hitlera Saddama Husseina. Wszyscy oni oczywiście chcieli zawojować świat. Pojawiali się jedni po drugich, bo tak być musiało, by przestraszyć i sterroryzować społeczeństwo, by ludzie bali się podróżować i kryli się z trwogi jak zające pod miedzą. Wówczas odnosiło się wspaniałe zwycięstwo nad Grenadą, Panamą lub inną bezbronną armią kraiku z Trzeciego Świata, którą można było roznieść na strzępy, nawet jej się dokładnie nie przyglądając. Dokonywano tego, i przynosiło to ulgę. Uratowaliśmy się w ostatniej chwili. Jest to jeden ze sposobów uniemożliwiania zdeorientowanemu stadu zrozumienia, co się naprawdę wokół niego i z nim dzieje, kontrolowania go i odwracania jego uwagi.

Następnym naszym przeciwnikiem będzie najprawdopodobniej Kuba. Będzie to wymagało kontynuowania nielegalnej wojny ekonomicznej, zapewne również przedłużania niespotykanej kampanii międzynarodowego terroryzmu. Najjaskrawszym przejawem tej ostatniej była podjęta za czasów administracji Kennedy'ego Operacja Gęś Księżycowa (Moongoose) oraz dalsze wymierzone przeciwko Kubie działania. Nic nie daje się nawet odległe z nią porównać, może z wyjątkiem wojny przeciwko Nikaragui, o ile można nazwać ją terroryzmem - Trybunał Międzynarodowy zakwalifikował ją raczej jako agresję. Stale dochodzi do ideologicznej ofensywy, podczas której kreuje się jakieś chimeryczne monstrum, a następnie rozpoczyna się kampanie jego zniszczenia. (1) Oczywiście, nie można jej podejmować, jeśli groziłoby to rzeczywiście groźnym oporem. Byłoby to zbyt ryzykowne. Jeżeli jednak z góry się wie, że wroga można zgnieść na miazgę, można do tego przystąpić, a później odetchnąć z ulgą.

Nową kampanie planuje się od dość dawna. W maju 1986 roku ukazały się pamiętniki wypuszczonego z kubańskiego więzienia Armando Valladeresa. Środki masowego przekazu natychmiast potraktowały je jako sensację. Pozwolę sobie przytoczyć parę przykładów. Relację Valladeresa media obwołały „ostatecznym opisem olbrzymiego systemu tortur i więzień, przy użyciu którego Castro karze i niszczy polityczną opozycję. Inspirująca i niezapomniana opowieść o bestialskich więzieniach, nieludzkich torturach”, „zapis przemocy

w państwie, rządzonym przez kolejnego z ludobójców naszego stulecia, który - jak dowiadujemy się wreszcie z tej książki - stworzył nowy despotyzm, który zinstytucjonalizował tortury jako mechanizm społecznej kontroli w piekle - czyli Kubie czasów Valladerea". Tak pisały w przedrukowywanych recenzjach z Washington Post i New York Times. Castro został scharakteryzowany jako: „dyktatorski zbir. Jego okrucieństwa zostały opisane w tej książce tak wyczerpująco, że jedynie najbardziej lekkomyślny i mający najzimniejszą krew zachodni intelektualista mógłby stanąć w obronie tego tyrana" - Washington Post. Pamiętajmy, że jest to relacja tego, co przydarzyło się jednemu człowiekowi. Zgódźmy się, że zawiera wyłącznie prawdę. Nie kwestionujemy, co działo się z człowiekiem, który, jak twierdzi, był torturowany. Podczas ceremonii w Białym Domu z okazji Dnia Praw Człowieka Ronald Reagan wyróżnił go za dzielność w znoszeniu potworności i sadyzmu krwawego kubańskiego tyrana.

Valladerea mianowano następnie reprezentantem USA przy Komisji Praw Człowieka ONZ, gdzie pełnił dla Stanów służbę sygnałową: bronił rządów Salwadoru i Gwatemali przed oskarżeniami o zbrodnie tak straszliwe, że wszystko, co przeszedł on sam, wydaje się drobiazgiem.

Tak właśnie toczy się ten świat.

Selektywność percepcji

Było to w maju 1986 roku. Ciekawe zdarzenie, mówiące wiele o fabrykowaniu przyzwolenia. W tym samym miesiącu pozostali przy życiu członkowie Grupy Praw Człowieka z Salwadoru (przywódcy zostali wymordowani już wcześniej) zostali aresztowani i poddani torturom. Wśród aresztowanych był ich lider, Hector Anaya. Wtrącono ich do więzienia La Esperanza (Nadzieja). Podczas pobytu w więzieniu kontynuowali oni pracę na rzecz praw człowieka. Jako prawnicy, w dalszym ciągu zbierali zeznania. W więzieniu było 432 więźniów. Członkowie grupy uzyskali od 430 z nich zaprzysiężone relacje o torturach, którym ich poddawano: stosowaniu prądu elektrycznego i innych okrucieństwach. W jednym przypadku tortury prowadził szczegółowo scharakteryzowany, umundurowany major armii USA. Jest to niezwykle obrazowe i dokładne świadectwo, zapewne wyjątkowe jeśli chodzi o szczegółowość opisu tego, co działo się w celach tortur.

Stusześćdziesięciostronicowy raport o przeżyciach więźniów przemycono na zewnątrz, razem z taśmą wideo, na której utrwalono zeznania ludzi, dotyczące tortur, jakim byli poddawani w więzieniu. Raport był później rozpowszechniany przez Ekumeniczną Grupę Roboczą Marin County. Prasa ogólnonarodowa odmówiła zajęcia się nim. Stacje telewizyjne nie chciały pokazywać taśmy. Ukazał się artykuł w lokalnej gazecie Marin County, San Francisco Examiner, i to chyba wszystko. Nikt inny nie chciał tknąć się tych materiałów. Był to czas, gdy niejeden z „lekkomyślnych i mających najzimniejszą krew zachodnich intelektualistów" piał peany na cześć Jose Napoleona Duarte i Ronalda Reagana. Anayi nie oddano żadnych hołdów. Nie zaproszono go na ceremonię z okazji Dnia Praw Człowieka. Nie dostał żadnej nominacji. Został uwolniony przy wymianie więźniów, a następnie zamordowany, prawdopodobnie przez popierane przez USA służby bezpieczeństwa. Ukazało się na ten temat bardzo niewiele informacji. Media nigdy nie postawiły pytania, czy ujawnienie okrucieństw w Salwadorze, miast przemilczenia ich i zatajania ich istnienia, nie ocaliłoby mu życia.

Mówi to co nieco o sposobie działania dobrze funkcjonującego mechanizmu fabrykowania przyzwolenia. W porównaniu z relacją Herberta Anayi z Sawadoru, pamiętniki Valladaresa wydają się tak mizerne, jak mysz wobec słonia. Trzeba było jednak wykonać określone działanie, przybliżające nas ku kolejnej wojnie. Spodziewam się, że będziemy słyszeli o nich jeszcze więcej, aż nastąpi kolejna operacja. (1)

Teraz kilka uwag o ostatniej wojnie - wreszcie się nią zajmijmy. Zacznę od badań Uniwersytetu Massachusetts, o których wspominałem wcześniej. Zawierały one kilka ciekawych wniosków. W badaniu pytano, czy zdaniem ankietowanych Stany Zjednoczone winny interweniować zbrojnie w przypadku nielegalnej okupacji lub poważnego naruszenia praw człowieka. Gdyby USA kierowały się tym stanowiskiem, winniśmy zbombardować Salwador, Gwatemalę, Indonezję, Damaszek, Tel Awiw, Kapsztad, Turcję, Waszyngton oraz cały rząd innych państw i miast. Wszędzie tam dopuszczono się nielegalnej okupacji, agresji lub rażącego pogwałcenia praw człowieka. Jeżeli znacie fakty, związane z podanymi wyżej przykładami - na których powtarzanie nie mamy czasu - zdajecie sobie doskonale sprawę, że agresja Saddama Husseina i jego okrucieństwa nie wyróżniają się niczym szczególnym. Nie są nawet najdrastyczniejsze. Dlaczego nikt nie przedstawił takiego wniosku ? Przyczyna jest prosta: nikt o tym nie wie. W dobrze funkcjonującym systemie propagandowym nikt nie powinien wiedzieć, o czym mówiłem, kiedy wspominałem o powyższych przykładach. Jeżeli zadacie sobie trud sprawdzenia, zobaczycie, że przykłady te są jak najbardziej odpowiednie. Przypomnijcie sobie jeden z nich złowieszczą zbliżony w czasie do okresu, którym się zajmujemy. W lutym, w trakcie w pełni rozwiniętej kampanii bombardowań, rząd Libanu zażądał od Izraela przestrzegania Rezolucji 425 Rady Bezpieczeństwa ONZ, w której wezwano Izrael do natychmiastowego i bezwarunkowego wycofania wojsk z Libanu. Rezolucja ta pochodzi z marca 1978 roku. Nastąpiły po niej dwie kolejne, w których powtórzono wezwania do natychmiastowego i bezwarunkowego wycofania się Izraela z Libanu. Izrael się im oczywiście nie podporządkował, ponieważ Stany Zjednoczone wspierają jego okupację ! Południowy Liban nadal objęty jest terrorem. W wielkich celach tortur dzieją się tam przerażające rzeczy. Region ten wykorzystuje się jako bazę do ataków na pozostałą część Libanu. W ciągu trzynastu lat od inwazji na Liban, zbombardowano Bejrut, zginęło około 20 tysięcy ludzi (w 80% cywilów), szpitale uległy zniszczeniu, następowały kolejne akty terroru i rabunku. Wszystko w porządku, bo popiera to USA ! To tylko jeden z przykładów. W środkach masowego przekazu nie widzi się żadnych materiałów na ten temat, nie słyszy się dyskusji, czy Izrael i USA powinny przestrzegać Rezolucji 425 Rady Bezpieczeństwa ONZ i innych. Nikt też nie wzywał do zbombardowania Tel Awiwu, chociaż według przekonań dwóch trzecich społeczeństwa, powinniśmy to zrobić. Przecież doszło do nielegalnej okupacji i rażącego pogwałcenia praw człowieka ! To tylko jeden przypadek. Są o wiele gorsze. Indonezyjska inwazja na Timor Wschodni pociągnęła za sobą około 200 tysięcy ofiar. Wszystkie pozostałe przykłady błędą w porównaniu z Timorem. Indonezja cieszy się jednak solidnym poparciem USA i w dalszym ciągu otrzymuje pomoc dyplomatyczną i militarną ze strony Ameryki. Kolejne przykłady można by mnożyć.

Wojna w Zatoce

Dowodzi to, w jaki sposób działa skuteczny system propagandowy. Ludzie wierzą, że używamy siły przeciwko Irakowi i Kuwejtowi, ponieważ naprawdę przestrzegamy zasady odpowiadania siłą na nielegalną okupację i naruszanie praw człowieka. Nie zdają sobie

sprawy, co oznaczałoby zastosowanie tej zasady wobec postępowania samych Stanów Zjednoczonych. Jest to nader spektakularny sukces propagandy.

Zajmijmy się bliżej kolejną sprawą. Jeżeli przyrzeć się bliżej traktowaniu wojny w mediach od sierpnia, można zauważyć uderzający brak kilku głosów. Istnieje przecież na przykład dzielna i nader istotna iracka opozycja demokratyczna. Oczywiście, działa ona na emigracji, ponieważ jej członkowie nie przeżyliby w kraju. Mieszkają oni przede wszystkim w Europie. Są to bankierzy, inżynierowie, architekci - ludzie tego pokroju, są wykształceni, potrafią się wypowiadać, i nie wahają się tego czynić.

W lutym zeszłego roku, gdy Saddam Hussein był nadal ulubionym partnerem handlowym i przyjacielem George'a Busha, przedstawiciele irackiej opozycji - jak wynika z ich źródeł - przybyli do Waszyngtonu z petycją o poparcie dla ich żądań zaprowadzenia w Iraku parlamentarnej demokracji. Spotkało ich totalne lekceważenie, ponieważ Stany Zjednoczone nie były tym zainteresowane. Nie nastąpiła jakakolwiek reakcja, którą mogłoby zaobserwować społeczeństwo.

Od sierpnia istnienie opozycji było nieco trudniej zignorować. W sierpniu nagle zwróciliśmy się przeciwko Saddamowi Husseinowi, po tym, jak przez wiele lat go faworyzowaliśmy. Pod ręką była iracka opozycja demokratyczna, która na pewno była w stanie przedstawić swe wnioski w tej sytuacji. Jej członkowie na pewno z zadowoleniem przyglądaliby się łamaniu na kole tortur i ćwiartowaniu Saddama Husseina, który wszak mordował ich braci, torturował siostry i wypędził ich samych z kraju. Walczyli przeciwko jego tyranii przez cały czas, gdy cieszył się gorącym poparciem Ronalda Reagana i George'a Busha. Co się stało z głosem opozycji? Przyjrzyjcie się ogólnonarodowym mediom, by zorientować się, czy czegoś można było dowiedzieć się od sierpnia do marca o irackiej opozycji demokratycznej. Nie znajdziecie ani słowa. Nie dlatego, że nie była ona w stanie wyartykułować swoich żądań. Przedstawiła ona oświadczenia, propozycje, wezwania i żądania. Jeżeli bliżej w nie wnikniecie, stwierdzicie, że nie sposób odróżnić ich od postulatów amerykańskiego ruchu pokojowego. Opozycja była przeciwko Saddamowi Husseinowi i wojnie przeciwko Irakowi. Jej członkowie nie chcieli, by ich kraj został zniszczony. Pragnęli jedynie pokojowego rozwiązania i doskonale wiedzieli, że jest ono możliwe.

Nie usłyszeliśmy ani słowa o irackiej opozycji demokratycznej. Jeżeli chcecie się czegoś o niej dowiedzieć, sięgnijcie do prasy niemieckiej czy brytyjskiej. I tam nie znajdzie się wiele, prasa ta jest jednak poddana mniejszej kontroli niż nasza, dzięki czemu można się czegoś w ogóle dowiedzieć.

Jest to spektakularny sukces propagandy: po pierwsze to, iż zupełnie wyeliminowano głosy irackich demokratów, a po drugie, że nikt nie zwrócił na to uwagi.

To również jest ciekawe. Społeczeństwo musi być poddane głębokiej indoktrynacji, skoro nie zauważyło, że nie słyszy głosów irackiej opozycji demokratycznej, nie zadaje sobie pytania „dlaczego” i nie znajduje najoczywistszej odpowiedzi: ponieważ iraccy demokraci myślą niezależnie. Ich postulaty są zgodne z wnioskami międzynarodowego ruchu pokoju i dlatego się je pomija.

Zajmijmy się pytaniem o przyczyny wojny. Podawano je i owszem. Jeden z powodów brzmiał: nie można nagradzać agresorów, a inwazję należy udaremnić szybkim użyciem siły. Taki oto powód wojny nam podano; praktycznie nie słychać było żadnego innego. Czy była to wystarczająca przyczyna, by wszcząć wojnę? Czy USA przestrzega zasady, iż nie można nagradzać agresorów, a inwazję należy udaremnić szybkim użyciem siły? Nie będę obrażał waszej inteligencji powtarzaniem faktów, jednak sytuacja ma się tak, iż czytany nastolatek jest w stanie zbić takie argumenty w dwie minuty. Nikt ich jednak nigdy nie obalił. Przyjrzyjcie się mediom, liberalnym komentatorom i krytykom, ludziom, którzy zeznawali przed Kongresem - czy ktokolwiek zakwestionował założenie, że Stany Zjednoczone przestrzegają głoszonych przez siebie zasad?

Czy USA stawiały opór samym sobie, gdy podjęły inwazję na Panamę, i chciały w odwecie zbombardować... Waszyngton? Czy gdy okupacja Namibii przez Południową Afrykę została uznana za nielegalną w 1969 roku, USA nałożyły sankcje na żywność i leki? Czy przystąpiły do wojny? Nie, przez dwadzieścia lat prowadziły „cichą dyplomację”. Przez tych dwadzieścia lat działy się rzeczy bardzo niemiłe. Tylko w okresie administracji Reagana - Busha, wojska południowoafrykańskie zabiły około półtora miliona ludzi w sąsiednich krajach, nie wspominając o tym, co działo się w samej Południowej Afryce i Namibii.

Nie wiedzieć czemu, nie urażało to naszych wrażliwych dusz. Kontynuowaliśmy „cichą dyplomację” i na koniec zaofiarowaliśmy agresorom hojną nagrodę. Otrzymali oni wielki port w Namibii i zapewniono im mnóstwo przywilejów, biorąc pod uwagę przedstawiane przez nich względy bezpieczeństwa. Co działo się wtedy z zasadą, której ponoć przestrzegamy? Dziecinnie łatwo wykazać, że nie mogły to być powody, dla których przystąpiliśmy do wojny, ponieważ wcale nie przestrzegaliśmy tych zasad. Nikt jednak tego nie zrobił - i to się liczy. Nikt też nie zadał sobie trudu przedstawienia wynikającej stąd konkluzji: nie podano nam żadnego powodu rozpoczęcia wojny. Żadnego. Nie podano nam jakiegokolwiek powodu, z którym czytany nastolatek nie mógłby się rozprawić w mniej więcej dwie minuty!

Jest to kolejna oznaka kultury totalitarnej. Powinno nas przerażać, że można nas pchnąć do wojny bez żadnego powodu, i nikt się tym nie przejmuje ani tego nie dostrzega. To bardzo zdumiewający fakt.

W połowie stycznia, tuż przed rozpoczęciem bombardowań, ankieta Washington Post i ABC wykazała ciekawe zjawisko. Pytano ludzi: „Czy gdyby Irak zgodził się na wycofanie z Kuwejtu w zamian za rozważenie konfliktu arabsko-izraelskiego przez Radę Bezpieczeństwa, byłbyś za takim rozwiązaniem?” Około dwóch trzecich społeczeństwa odpowiedziało na to twierdząco; podobnie cały świat, włącznie z iracką opozycją demokratyczną. Niewykluczone, że ludzie, którzy opowiadali się za takim rozwiązaniem uważali, że myślą tak tylko oni na świecie. Na pewno nikt w prasie nie stwierdził, że byłaby to dobra idea. Rozkazy z Waszyngtonu zalecały, że mamy być przeciwko „kontaktom”, czyli dyplomacji, wobec czego wszyscy stanęli karnie w szeregu - przeciwko rozwiązaniom dyplomatycznym. Próbując natrafić na komentarze w prasie, można natrafić jedynie na felieton Alexa Cockburna w Los Angeles Times, który dowodził, że byłby to dobry pomysł. Ludzie, którzy opowiadali się za dyplomacją w sondażu, myśleli: „tak uważam, chociaż jestem w tym odosobniony”. Załóżmy, że wiedzieliby, iż nie są osamotnieni, że tak samo myślą inni ludzie, włącznie z iracką opozycją demokratyczną. Załóżmy, że wiedzieliby, że nie jest to hipotetyczna możliwość, że

Irak w istocie złożył taką właśnie ofertę. Wysocy urzędnicy rządu USA ujawnili jej istnienie zaledwie osiem-dziesięć dni wcześniej. Drugiego stycznia przedstawili oni iracką propozycję całkowitego wycofania się z Kuwejtu w zamian za rozsądzenie przez Radę Bezpieczeństwa konfliktu arabsko-izraelskiego i problemu broni masowego zniszczenia. Stany Zjednoczone odmawiały negocjowania tej propozycji, aż przygotowania do inwazji na Kuwejt były daleko zaawansowane. Załóżmy, że ludzie wiedzieliby, że taka oferta została rzeczywiście złożona - w istocie poparcie jej to dokładnie to, co zrobiłby każdy rozsądny człowiek, gdyby był zainteresowany zachowaniem pokoju. Tak przecież nawet bywało, w tych rzadkich przypadkach, gdy rzeczywiście nie chcieliśmy dopuścić do agresji. Załóżmy, że by o tym wiedziiano. Możecie formułować własne domysły, jak zakładam, że owe dwie trzecie zamieniłyby się prawdopodobnie w 98% społeczeństwa. Oto rzeczywiście wielkie sukcesy propagandy. Prawdopodobnie żadna z odpowiadających na tę ankietę osób nie wiedziała o faktach, o których wspominałem. Ludzie myśleli, że są odosobnieni w swych poglądach, dlatego też można było bez sprzeciwów kontynuować zmierzającą do wojny politykę.

Dyskutowano szeroko, czy sankcje mogłyby okazać się skuteczne. Do wypowiedzenia się w tej kwestii był zmuszony nawet szef CIA. Nie dyskutowano jednak nad o wiele ważniejszym pytaniem: czy sankcje nie były przypadkiem skuteczne? Zapewne prawdziwa odpowiedź brzmi: tak, najwidoczniej okazały się skuteczne - chyba przed końcem sierpnia, najprawdopodobniej przed końcem grudnia. Bardzo trudno wymyślić jakikolwiek inny powód irackiej oferty wycofania się z Kuwejtu, której istnienie potwierdzili, a paru przypadkach której treść ujawnili wysocy urzędnicy rządu USA. Określili ją oni jako poważną i dającą podstawę do negocjacji. Prawdziwe pytanie brzmi więc: czy sankcje okazały się skuteczne? Czy istniał sposób uniknięcia wojny? Czy było możliwe rozwikłanie konfliktu na warunkach do przyjęcia przez ogół społeczeństwa, cały świat i iracką opozycję demokratyczną? Nie dyskutowano nad tymi pytaniami - a dla dobrze funkcjonującej propagandy kluczowo istotne jest, by dyskusja taka w ogóle nie miała miejsca. Pozwala to Przewodniczącemu Komitetu Partii Republikańskiej twierdzić- dziś rano - że gdyby prezydentem był Demokrat, Kuwejt nie zostałby dzisiaj oswobodzony. Może tak twierdzić, a żaden Demokrat nie wstanie i nie powie, że gdyby był prezydentem, Kuwejt stałby się wolny nie dzisiaj, ale już sześć miesięcy temu, ponieważ istniały możliwości dyplomatyczne, których by nie pominął, a Kuwejt zostałby oswobodzony bez śmierci dziesiątek tysięcy ludzi i spowodowania ekologicznej katastrofy. Żaden z demokratów tego nie powie, bo żaden z demokratów nie zajął takiego stanowiska. Zajęli je Henry Gonzales i Barbara Boxer. Lista osób, publicznie popierających takie stanowisko, jest jednak tak krótka, że równie dobrze mogłoby ich nie być w ogóle. Zważywszy na fakt, iż żaden demokrat nie powie głośno podobnych słów, Clayton Yeutter może bez przeszkód wygłaszać swoje stwierdzenia.

Gdy pociski Scud spadły na Izrael, nie pochwalił tego nikt w prasie. Ten fakt również przedstawia w ciekawym świetle dobrze funkcjonujący system propagandowy. Moglibyśmy zadać pytanie: dlaczego nikt tego nie pochwalił? Przecież argumenty Saddama Husseina były równie prawdziwe, jak stwierdzenia George'a Busha. Przypomnijmy, jak brzmiały. Zastanówmy się choćby nad Libanem. Saddam Hussein twierdzi, że nie może przystać na jego aneksję. Nie może dopuścić, by Izrael zajmował syryjskie Wzgórza Golan i wschodnią Jerozolimę, lekceważąc jednogłośnie zdanie Rady Bezpieczeństwa. Saddam nie może przystać na aneksję. Nie może patrzeć beczynnienie na agresję. Izrael okupuje południe Libanu od trzynastu lat, gwałcąc rezolucję Rady Bezpieczeństwa. W ciągu tego okresu dopuścił się

ataków na całe terytorium Libanu i wciąż bombarduje większość tego kraju. Hussein nie może się z tym pogodzić. Być może czytał raport Amnesty International, dotyczący okrucieństw izraelskich na Zachodnim Brzegu. Krwawi mu serce. Nie może na to przystać. Sankcje nie działają, ponieważ USA je blokuje. Negocjacje są nieskuteczne, bo blokują je Stany Zjednoczone. Co pozostaje, oprócz siły? Hussein czekał latami. Trzydzieści lat w przypadku Libanu, dwadzieścia - jeżeli chodzi o Zachodni Brzeg. Słyszeliście wcześniej podobne argumenty?

Jedyna różnica między argumentami Husseina a tymi, które słyszeliście, polega na tym, iż Saddam Hussein może z pełnym uzasadnieniem stwierdzić, że sankcje i negocjacje okazały się nieskuteczne, bo blokowały je Stany Zjednoczone. George Bush nie może tego stwierdzić, ponieważ sankcje wobec Iraku najwidoczniej okazały się skuteczne i istniały wszelkie powody, by wierzyć w powodzenie negocjacji - tyle, że Bush konsekwentnie ich odmawiał. Twierdził przez cały czas wyraźnie, że negocjacji nie będzie.

Czy przypominacie sobie kogokolwiek, kto powiedziałby to jasno prasie? Nie. To drobiazg. Coś, z czego również odczytany nastolatek może zdać sobie sprawę w minutę. Nikt jednak nie powiedział tego publicznie: żaden komentator ani autor artykułów wstępnych. To również jest oznaka bardzo skutecznie zarządzanej kultury totalitarnej. Dowód, że fabrykowane przyzwolenia sprawdza się w działaniu.

Ostatni komentarz na ten temat. Możemy podawać wiele przykładów, kolejne możecie dopowiedzieć sobie sami. Zajmijmy się koncepcją, że Saddam Hussein to potwór, który chce zawładnąć całym światem - wyznawaną szeroko w USA, zresztą nie bezzasadnie. Ludziom wbijano nieustannie do głowy: Saddam chce zawładnąć całym światem; musimy go powstrzymać. W jaki sposób stał się tak groźny? Irak to mały kraj Trzeciego Świata bez żadnej bazy przemysłowej. Przez osiem lat walczył z Iranem - post rewolucyjnym Iranem, który zdziesiątkował swoją kadre oficerską i przetrzebił szeregi armii. Irak miał w tej wojnie niezłe poparcie. Wspierały go Stany Zjednoczone, Związek Radziecki, Europa, większość krajów arabskich i producentów ropy z tej okolicy świata. Mimo to Irak nie zdołał zwyciężyć Iranu. Nagle okazuje się, że jest gotów podbić świat. Czy ktokolwiek zwrócił na to uwagę? Przecież jest to w istocie kraj Trzeciego Świata z chłopską armią. Przyznano obecnie, że ropowszechniano masę dezinformacji co do jego fortyfikacji, broni chemicznej itp. Czy jednak ktokolwiek zwrócił na to uwagę? Nie. Okazuje się, że nikt, dosłownie nikt, nie powiedział tego publicznie. To typowe. Zwróćcie uwagę, że dokładnie rok wcześniej to samo zrobiono z Manuelem Noriega. Noriega to drobny łotrzyk w porównaniu z przyjacielem George'a Busha Saddamem Husseinem, i innymi jego przyjaciółmi w Pekinie - czy nim samym, jeśli już o tym mówimy! W porównaniu z nimi Manuel Noriega to bardzo drobny łobuz. Czarny charakter, ale nie łotr światowych rozmiarów, jakich lubimy. Zamieniono go jednak w postać nadnaturalnych rozmiarów. Zamierzał nas zniszczyć, prowadząc za sobą armię handlarzy narkotyków. Musieliśmy się szybko zmobilizować i go pokonać, zabijając kilkuset czy parę tysięcy ludzi. Przywróciliśmy władzę śladowej, może ośmioprocentowej białej oligarchii i umieściliśmy amerykańskich oficerów na każdym poziomie systemu politycznego. Trzeba było zrobić to wszystko, bo przecież musieliśmy się ratować, inaczej ten potwór by nas zniszczył. Rok później to samo było z Saddamem Husseinem. Czy ktokolwiek zwrócił na to uwagę? Czy ktokolwiek zapytał, dlaczego do tego doszło, albo w jaki sposób? Trzeba by się bardzo uważnie za czymś takim oglądać.

Należy zwrócić uwagę, że nie różni się to zbyt od działań Komisji Creela w latach 1916-1917, gdy w ciągu sześciu miesięcy zamieniono pacyfistyczne społeczeństwo w zbieraninę rozjuszonych historyków, nawołujących do zniszczenia wszystkiego, co niemieckie, dla ocalenia przed Hunami, obrywającymi rączki belgijskim niemowlętom. Stosuje się zapewne bardziej wyrafinowane techniki, sięga po telewizję i wkłada w to mnóstwo pieniędzy, jednak metoda jest nader tradycyjna.

Wracając do mojego wyjściowego stwierdzenia, uważam, że nie chodzi tylko o dezinformację w kwestii kryzysu w Zatoce. Problem jest o wiele poważniejszy. Chodzi tu o to, czy chcemy żyć w wolnym społeczeństwie, czy w narzuconym samym sobie totalitaryzmie, w którym zdeorientowane stado zostaje zmarginalizowane i zastraszone, w którym odwraca się jego uwagę i zmusza do wykrzykiwania patriotycznych sloganów, w którym bojąc się o własne życie, stado wzdycha z podziwu dla przywódcy, ratującego je przed zagładą, natomiast klasy wykształcone na rozkaz maszerują w karnym szeregu, powtarzając wpajane im slogany, społeczeństwo rozkłada się od wewnątrz, stajemy się sługami państwa najemników do wynajęcia i marzymy o tym, by ktoś nam zapłacił za zniszczenie świata.

Taki jest wybór. Przed takim wyborem stajecie. Odpowiedź na te pytania zależy w głównej mierze od ludzi takich jak wy czy ja.

Coś **się** **dzieje,**
kotły **pod** **parą,**
pora **wsiadać** **na** **pokład**
David Barsamian rozmawia z Noamem Chomsky'm o anarchii

NOAM CHOMSKY jest aktywistą politycznym i profesorem lingwistyki na Massachusetts Institute of Technology. Jego ostatnie książki to *The Common Good* i *The New Military Humanism*.

DAVID BARSAMIAN jest szefem [Alternative Radio](#) w Boulder, w stanie Colorado. Zamieszczamy poprawioną wersję rozmowy opublikowaną pierwotnie w "Nation"

DB: Porozmawiajmy o tym, co zdarzyło się w Seattle na przełomie listopada i grudnia 1999 roku przy okazji spotkania WTO. Jaki sens miały, Pana zdaniem, te wydarzenia i jaką lekcję należałoby z nich wyciągnąć?

Chomsky: Myślę, że to bardzo znaczący incydent, ukazujący, jak silny jest sprzeciw wobec globalizacji korporacyjnej, narzuconej przede wszystkim przez USA, ale i przez inne kraje przemysłowe. W wydarzenia w Seattle zaangażował się elektorat amerykański, ale też organizacje z całego świata, które wcześniej nie stykały się ze sobą. Podobna koalicja rok wcześniej zablokowała MAI [Multilateral Agreement on Investment]. Wtedy w podobny sposób przeciwstawiano się "porozumieniom" w rodzaju NAFTA. A lekcja jest taka, że edukacja i długofalowe organizowanie się naprawdę popłacają. Przy okazji nasuwa się jeszcze jeden wniosek: znaczna część ludzi w kraju i na świecie, być może większość tych, którzy zastanawiają się nad aktualnymi tendencjami, jest nimi albo zaniepokojona albo zdecydowanie im przeciwna, bo oznaczają one atak na prawa demokratyczne, na wolność podejmowania decyzji, bo podporządkowują wszystko określonym interesom, bo są

jednoznaczne z zasadą maksymalizowania zysku i z dominacją bardzo małego odsetka światowej populacji.

DB: Thomas Friedman, w swoim tekście w "New York Times", nazwał demonstracje w Seattle *arką Noego zwolenników płaskiej ziemi*.

Chomsky: Ze swojego punktu widzenia miał chyba rację. Z punktu widzenia właścicieli niewolników, tak właśnie jawią się ludzie przeciwni niewolnictwu. Dla jednego procenta populacji, o którym Friedman myśli i który reprezentuje, opozycja to obrońcy idei płaskiej ziemi, kołtuni i nie rozumiejący świata zacofańcy. Niby dlaczego sprzeciwiać się tendencjom, o których mówimy? Czy przypadkiem na ulicach Seattle oprócz gazów łzawiących nie dało się poczuć powiewu demokracji? Skłonny byłbym przypuszczać, że tak. Demokracji nie buduje się ponoć na ulicach, demokracja to podejmowanie decyzji. Walka o rozszerzanie swobód demokratycznych, znaczone wieloma zwycięstwami, toczy się od wieków. Tak właśnie, na drodze konfrontacji i starć, osiągnano wiele wygranych; nikt ich nikomu nie dawał w prezencie. Jeśli reakcja społeczna [popular reaction] przyjmuje naprawdę zorganizowaną, konstruktywną formę, jest w stanie podważyć i odwrócić zdecydowanie niedemokratyczny nacisk zdecydowanie niedemokratycznych międzynarodowych układów gospodarczych, które narzuca się światu. Oczywiście, ktoś może podnosić argumenty, że pogwałcona została suwerenność kraju, ale na świecie bywa jeszcze gorzej. Ponad połowa mieszkańców naszego globu nie ma - nawet w teorii - żadnej kontroli nad polityką gospodarczą własnego kraju. Mogą tylko przyjmować to, co się im ofiaruje. O ich gospodarce decydują biurokraci w Waszyngtonie; to efekt tak zwanego kryzysu zadłużenia, który jest tworem czysto ideologicznym, nie ekonomicznym. Tak, połowa mieszkańców naszego globu nie ma nawet minimalnej suwerenności.

DB: Dlaczego mówi Pan, że kryzys zadłużenia jest konstrukcją ideologiczną?

Chomsky: Jest zadłużenie, ale to, kto jest dłużnikiem, a kto wierzycielem, jest już kwestią ideologiczną, nie ekonomiczną. Na przykład istnieje kapitalistyczna zasada, na którą nikt, oczywiście, nie zwraca uwagi, a która powiada, że jeśli pożyczam od kogoś pieniądze, muszę je zwrócić wierzycielowi, choć wierzyciel ryzykuje, że nie zwrócę długu. Nikt nie bierze nawet pod uwagę takiej możliwości, ale powiedzmy, że postąpimy wedle niej. Weźmy, dla przykładu, Indonezję. Gospodarka jest w ruinie, bo zadłużenie kraju wynosi około 140 procent dochodu narodowego. Kiedy prześledzić skąd dług, okazuje się, że zaciągnęło go stu, może dwustu ludzi związanych z dyktaturą wojskową, którą wspieraliśmy. Pożyczkodawcy to międzynarodowe banki. Część tego długu została przejęta przez MFM, co oznacza, że obciąży on podatników z północnej półkuli. Co się stało z pieniędzmi? Trafiły do prywatnych kieszeni. Trochę wypłynęło z kraju, trochę zainwestowano, ale ludzie, którzy je pożyczycy, nie odpowiadają za zadłużenie. Płacić muszą mieszkańcy Indonezji, chociaż nie oni zaciągali pożyczki; to oznacza twarde ograniczenia, ubóstwo i cierpienie. A sami dłużnicy? Są zabezpieczeni przed ryzykiem. To jedna z funkcji MFM: zabezpieczać tych, którzy pożyczają i czynią ryzykowne inwestycje. To właśnie ze względu na stopień ryzyka pożyczki są tak wysoko oprocentowane. Dłużnicy nie ryzykują mając gwarancje MFM. Zadłużenie różnymi kanałami przenoszone jest na podatników z Północy. Cały system tak jest pomyślany, by odciążyć pożyczkobiorców. Ci nigdy nie ponoszą odpowiedzialności. Odpowiedzialność spada na zubożałe społeczeństwa ich własnych krajów. To są wybory ideologiczne, nie

gospodarcze. Problem na tym się nie kończy. Istnieje zasada respektowana w prawie międzynarodowym, a ustanowiona przez USA ponad sto lat temu, kiedy to Stany "wyzwały" Kubę, czyli podbiły ją w 1898 roku, uniemożliwiając samodzielne wyzwolenie się wyspy spod władzy hiszpańskiej. Rząd USA umorzył wówczas dług Kuby wobec Hiszpanii, posługując się całkiem rozsądnym argumentem, że zadłużenie jest nieważne ponieważ zostało narzucone Kubańczykom siłą, bez ich przyzwolenia. Zasada ta zaczęła później, z inicjatywy Stanów, obowiązywać w prawie międzynarodowym pod nazwą "ohydne zadłużenie". Dług nie jest ważny, jeśli został wymuszony. Zadłużenie Trzeciego Świata jest ohydny zadłużeniem. Uznała to nawet przedstawicielka USA przy MFM, Karen Lissaker, specjalistka od gospodarki międzynarodowej, która przed kilku laty przyznała, że gdyby stosować zasadę ohydne zadłużenia, większość długów Trzeciego Świata musiałaby zostać unieważniona.

DB: "Newsweek" z 13 grudnia poświęcony był "Bitwie w Seattle". Przy jednym z artykułów znalazł się sidebar zatytułowany *Nowy Anarchizm*. Pośród jakoś tam reprezentatywnych dla nowego anarchizmu postaw wymieniono Rage Against the Machine i Chumbawamba. Nie sądzę, by wiedział Pan o kim mowa.

Chomsky: Wiem, nie jestem aż tak odcięty od świata.

DB: To kapele rockowe. Obok nich wymieniono pisarza Johna Zerzana i Theodore'a Kaczynskiego, czyli Unabombera, oraz profesora MIT, Noama Chomsky'ego. Jak panu odpowiada to towarzystwo? Czy "Newsweek" kontaktował się z Panem?

Chomsky: Oczywiście. Przeprowadzili ze mną długą rozmowę [chichot]. Domyślam się, co mogło się dziać w redakcji, ale wie Pan, jak to jest z domysłami. Określenie "anarchista" zawsze miało podejrzaną brzmienie w kręgach elity. Na przykład w dzisiejszym "Boston Globe" zobaczyłem taki nagłówek: "Anarchiści planują oprotestować kwietniowe spotkanie MFM". Kim są ci anarchiści, którzy planują protest? To Public Citizen Ralpa Nadera, organizacje pracownicze i tak dalej. Oczywiście, przy okazji pojawią się ludzie nazywający samych siebie anarchistami, cokolwiek miałyby to znaczyć. Ale elicie potrzebne jest coś, co można odrzucić jako irracjonalne. Na tej samej zasadzie Thomas Friedman nazywa protestujących *wyznawcami płaskiej ziemi*.

DB: Vivian Stromberg z nowojorskiej organizacji pozarządowej Madre mówi, że w kraju panuje podniecenie [motion], ale brak inicjatyw [movement].

Chomsky: Nie zgadzam się. To, co zdarzyło się w Seattle, było bez wątplenia inicjatywą. Aresztuje się studentów, którzy protestują przeciwko niehumanitarnym warunkom pracy [sweatshop conditions]. Moim zdaniem jest wiele podobnych inicjatyw. W pewnym sensie to, co miało miejsce kilka tygodni temu w Montrealu, podczas spotkania Protokołu Biobezpieczeństwa, było chyba jeszcze dramatyczniejsze, niż wydarzenia w Seattle. Niewiele o tym mówiono, bo protestowali przede wszystkim Europejczycy. USA i kilka innych krajów oczekiwało zysków z eksportu biotechnologii. Chodzi o tak zwaną "zasadę ostrożności" [precautionary principle], która dawałaby prawo poszczególnym krajom i społeczeństwom powiedzieć: nie, nie chcemy być przedmiotem waszych eksperymentów. Podczas negocjacji w Montrealu Stany Zjednoczone, które są potężnym ośrodkiem przemysłu biotechnicznego,

inżynierii genetycznej etc., domagały się zastosowania tutaj liberalniejszych zasad przyjętych przez WTO. Zgodnie z nimi obiekt eksperymentu musi przedstawić naukowe dowody na jego szkodliwość, jeśli tego nie uczyni, zwycięża prawo korporacji. Większość krajów świata stosuje z powodzeniem zasadę ostrożności. Chodzi o rzeczy podstawowe: o obronę prawa poszczególnych społeczeństw do podejmowania autonomicznych decyzji, do dobrowolnego poddawania się eksperymentom, nie mówiąc już o kontroli nad własnymi zasobami i ustalaniu zasad, na jakich obcych kapitał może inwestować w moim kraju. Inaczej mówiąc, chodzi o zachowanie suwerenności, o obronę przed megakorporacjami. Z pewnego punktu widzenia problemy podnoszone w Montrealu były więc bardziej istotne niż w Seattle.

DB: Czy sądzi Pan, że kwestia bezpiecznej żywności mogłaby przysporzyć lewicy elektoratu?

Chomsky: Nie uważam by był to problem akurat dla lewicy. Jeśli określenie "lewica" coś jeszcze znaczy, znaczy ono zajmowanie się potrzebami i prawami przeciętnego człowieka, z czego wynika, że ogromna większość społeczeństwa powinna skłaniać się ku lewicy. I tak chyba rzeczywiście jest. Kwestia bezpiecznej żywności o tyle jest problemem lewicy, o ile dotyczy całego społeczeństwa.

DB: Czy mógłby Pan powiedzieć coś więcej o ruchu studenckim walczącym o lepsze warunki pracy [antisweatshop movement]. Czy różni się on od innych, znanych Panu ruchów?

Chomsky: I tak i nie. W pewnym sensie jest podobny do ruchu przeciwko apartheidowi, z tą różnicą, że uderza bezpośrednio w relacje wyzysku. To jeszcze jeden przykład współdziałania różnych elektoratów. Ruch został zainicjowany przez Charliego Kernaghana z nowojorskiego National Labor Committee i przez inne grupy skupiające działaczy pracowniczych. Studenci zaangażowani w ruch wymusili na rządzie USA opracowanie swego rodzaju kodeksu. Administracja sponsoruje nawet koalicję grup pracowniczych i studenckich, którą jednak wiele innych grup bojkotuje, uważając, że jej działalność prowadzi donikąd.

DB: Studenci nie nawołują do obalenia systemu wyzysku.

Chomsky: Może powinni. Tymczasem walczą o prawa pracownicze. Te same prawa, które starają się gwarantować konwencje MOP. Stany Zjednoczone ratyfikowały bardzo niewiele postanowień MOP. Gorsza sytuacja w tym względzie jest chyba tylko na Litwie i w Salwadorze. Nie oznacza to, że inne kraje respektują postanowienia MOP, ale przynajmniej je podpisują. Stany Zjednoczone nie robią nawet tego.

DB: Proszę mi powiedzieć, co dzieje się na Pana kampusie, w MIT. Czy istnieją tam ruch obrony praw pracowniczych?

Chomsky: Istnieją bardzo aktywne grupy zajmujące się sprawiedliwością społeczną. Sprawiedliwością w praktyce. Tymi samymi kwestiami, które kazały ludziom wyjść na ulice Seattle. W Stanach nikt nie cierpi tak, jak w krajach Trzeciego Świata, ale pomimo przyrostu gospodarczego większość społeczeństwa jest pozostawiona samej sobie. Międzynarodowe porozumienia ekonomiczne, tak zwane porozumienia wolnorynkowe, mają na celu utrzymanie stanu obecnego.

DB: Jak mógłby Pan skomentować afrykańskie przysłowie, które powiada: "Nie zburzysz domu Pana jego narzędziami".

Chomsky: Jeśli miałyby to oznaczać: nie próbuj poprawiać losu ludzi cierpiących, to nie zgadzam się z nim. Prawda, że scentralizowana władza, korporacyjna czy państwowa, nie zamierza popełnić samobójstwa. Ale to nie znaczy, że nie powinniśmy jej przeszkadzać. Po pierwsze, wykorzystuje ona cierpienie i temu, niezależnie od wszystkiego, należy się sprzeciwić. Ludzie muszą zrozumieć ile mogą zdziałać dzięki współpracy. Alternatywą będą akademickie seminaria pełne narzekań jak okropny jest system.

[12 kwietnia 2000]

Tłumaczenie Ewa Mikina

KRAINA LOGOS www.logos.amor.pl